

Nie widziałem UFO, nie miałem stanów OBE, jestem jakiś pechowy!

3 sierpnia 2014

O książce „Lista nieobecnych” traktującej o popularnych pisarzach science-fiction epoki PRL, który potem zniknęli z piedestału oraz powieści sensacyjnej „Kot z Cheshire”, a także o fantastyce, zjawiskach paranormalnych i o tym, że człowiek pióra nigdy nie przestaje się uczyć z autorem Markiem Żelkowskim rozmawia Wojciech Chudziński.

WOJCIECH CHUDZIŃSKI: Można by rzec: człowiek orkiestra. Autor opowiadań i powieści SF, twórca słuchowisk radiowych, publicysta zainteresowany zjawiskami paranormalnymi, kontynuator cyklu powieściowego dla młodzieży „Pan Samochodzik”. Czy istnieje jeszcze jakiś obszar twórczości, który Marek Żelkowski zamierza dopiero „zaanektować”?

MAREK ŻELKOWSKI: Jeden z bohaterów powieści sensacyjnej „Kot z Cheshire”, którą niedawno popełniłem, ma nieco egzaltowany i, przyznam, drażniący zwyczaj: w niemal każdych okolicznościach potrafi wygrzebać z pamięci jakiś cytat lub złotą myśl, która pasuje do sytuacji. Nie wiem, czy wytrzymałbym na dłuższą metę z takim mądrałą, ale... Mimo to, zaryzykuję, pójdę jego śladem i na początek posłużę się słowami giganta literatury Johna Steinbecka: „Jeżeli w powieściopisarstwie istnieje jakaś magia, a wierzę głęboko, że istnieje, to nikt nigdy nie zdoła sprowadzić jej do zbioru reguł, które jeden człowiek może przekazać drugiemu. Regułą jest tylko jedno: drażniący impuls, który każe pisarzowi dzielić się z czytelnikami czymś, co wydaje mu się ważne.”

Brzmi trochę mentorsko, ale jeżeli dodam, iż w moim przypadku pod słówkiem „ważne” ukrywa się dostarczanie odbiorcom

ekscytującej i, mam nadzieję, inteligentnej rozrywki, to przesłanie stanie się chyba bardziej przejrzyste. Jestem pasjonatem literatury rozrywkowej. Czytam dużo SF, horrorów, kryminałów, sensacji. Stąd bierze się wielość tematów oraz gatunków, po które sięgam jako osoba pisząca. A podczas lektury oprócz czystej przyjemności kontaktu z lepszą lub gorszą prozą, bawi mnie obserwowanie tego, jak uznani pisarze radzą sobie z różnymi problemami narracyjnymi, przedstawianiem postaci, splataniem wątków, myleniem tropów. To nie odbiera mi przyjemności lektury, a jednocześnie uczy. Bo człowiek, który pragnie pisać książki powinien, moim zdaniem, uczyć się nieustannie i nieustannie usprawniać swój warsztat.

I tu wzorem wspomnianego już wcześniej bohatera powieści sensacyjnej „Kot z Cheshire” ponownie posłużę się cytatem. Obiecuję, że to będzie cytat... Powiedzmy przedostatni. Dla komfortu oraz bezpieczeństwa zostawię sobie możliwość rzucenia jakiejś złotej myśli gdzieś pod koniec wywiadu. (śmiej) Clive Cussler stwierdził kiedyś: „Ktoś, kto dopiero startuje, może zaoszczędzić mnóstwo czasu, naśladowując wartościowych pisarzy. Nie chodzi o to, żeby kraść im pomysły. Podpatruje się i kradnie ich styl... sposób, w jaki konstruują swoje książki. Jeśli piszesz powieść przygodową, przyjrzyj się, jak to robi, powiedzmy Alistair Maclean. Jak szybko rozwija się wątek, jak kończą się rozdziały?”

Myślę, że to bardzo dobra rada. Są takie okresy, że bardziej bawi mnie fantastyka, innym razem sensacja i kryminał, a jeszcze kiedy indziej horror lub literatura młodzieżowa. To zapewne wynika z mojego niezbyt „kryształowego” charakteru. Ja po prostu bardzo łatwo się nudzę. Dlatego raz wstukuję w komputer coś z fantastyki, raz „Samochodzika”, a jeszcze kiedy indziej jakąś sensację. Po prostu nie znoszę monotonii. A jeżeli pracuję, to bardzo, ale to bardzo nie lubię się nudzić. To dlatego tak chętnie zmieniam gatunki, ale również formy pisarskie. Inaczej pisze się słuchowisko, inaczej wspomniane książki z cyklu „Pan Samochodzik”, a jeszcze inaczej „Kota z

Cheshire". Różni je nie tylko tematyka, ale również sposób posługiwania się słowem.

Słuchowiska to teatr wyobraźni. Tam wszystko opiera się na dialogu, który tylko troszeczkę jest wspomagany efektami dźwiękowymi. „Samochodziki” to powieści awanturnicze pisane przeważnie w pierwszej osobie. Czasami dla zabawy wplątałem tam nieco wątków fantastycznych, ale tylko trochę, aby nie zepsuć konwencji. Natomiast „Kot...” to typowa sensacja, która, mam nadzieję, trzyma czytelnika w napięciu i zmusza do podejmowania prób odgadnięcia zagadki, na bazie której autor skonstruował swój utwór.

Lubię eksperymentować ze słowem, to zawsze jest trochę tak, jakbym ruszał na podbój nowej, nieznanej krainy. Powiem od razu, że słowo eksperyment nie padło tu przypadkowo. Jeżeli podejmuję jakąś próbę, to jeszcze wcale nie oznacza, że na końcu tej drogi czekają mnie fanfary i gratulacje. Niestety czasami wysiłek przynosi wynik niezadowalający. A to dla człowieka piszącego oznacza porażkę.

Pytałeś o „aneksję” nowych obszarów literackich... Tak, jest taki obszar, który zamierzam zdobyć w najbliższym czasie. Jest nim powieść fantastyczno-naukowa dla młodzieży. „Samochodziki” narobiły mi apetytu na pisanie dla młodych ludzi, a efektem są „Jaskinie czasu”, z którymi właśnie startuję.

– Wspomniałeś o literackich porażkach. Mógłbyś uchylić nieco rąbka tajemnicy? Miałeś takowe?

– Oczywiście, że tak. Miałem i pewno jeszcze będę miał, gdyż moja dusza poszukiwacza oraz eksperymentatora wciąż daje o sobie znać. Ale przecież niepowodzenie również jest nauką i wzbogaceniem warsztatu. Ostatnio popełniłem pewną powieść sensacyjną. Pozornie wszystko było OK. Pomysł był dobry i przewrotny. Wydawało mi się, że nieźle zarysowałem postacie oraz rozpisałem akcję. Niestety, skusiło mnie eksperymentowanie z formą, z pisanem w wielu osobach... To

niestety nie wyszło powieści na zdrowie. Już kiedy ukończyłem książkę wiedziałem, że coś jest z nią nie tak. Wyszło mi czytać sensacyjne, które nie wciąga, nie przykuwa do siebie... i chwilami jest mocno przegadane.

Początkowo myślałem, że przesadzam, ale kilka osób, które przeczytało owo „dzieło”, również miało mieszane uczucia. Trzeba będzie przerobić wspomnianą powieść w taki sposób, aby zachować to, co w niej najlepsze i wyeliminować to, co ewidentnie słabe. Problem polega na tym, że na razie nie do końca wiem jak to zrobić. A zatem, kto wie, czy wcześniej nie powstanie kilka innych książek. Przy kolejnej sensacji, do której zabiorę się po wakacjach, nie będę już eksperymentował. „Królowa Kier” powstanie zgodnie z regułami gatunku.

– Debiutowałeś jako autor science fiction. Obecnie wydajesz książkę „Lista nieobecnych” (Wyd. Solaris, Stawiguda 2014) – rozmowy z gwiazdami literatury fantastyczno-naukowej lat 1970. i 1980. To, siłą rzeczy, wycieczka do czasów twojej młodości i okresu literackiego dojrzewania...

– „Lista nieobecnych” jest owocem zarówno mojej fascynacji literaturą SF, jak i wykonywanego zawodu. Jestem dziennikarzem od ponad dwudziestu lat, a ten zawód ma to do siebie, że po pewnym czasie istnieje niebezpieczeństwo popadnięcia w rutynę. Wywiady z guru moich młodzieńczych lektur były sposobem, aby przed ową rutyną się uchronić. Aby zacząć pisać o czymś innym, niż piszę na co dzień.

Pewnego dnia zadałem sobie pytanie, gdzie podziiali się ci wspaniali pisarze, których książki pochłaniałem w młodości całymi kilogramami. Kiedy zacząłem drążyć temat, bardzo szybko zrozumiałem, że ludzie, którzy jeszcze pod koniec lat 80. wydawali książki w nakładach przekraczających sto tysięcy egzemplarzy, w następnym dziesięcioleciu po prostu zniknęli z rynku. Ich książki przestały się pojawiać na półkach księgarskich. Oczywiście można było uznać, że pojawiła się nowa, lepsza literatura SF rodem z USA lub Wielkiej Brytanii i

dla rodzimych twórców nie było już miejsca. Takie tłumaczenie wydaje się logiczne, ale jakoś nie mogłem uwierzyć w ową narrację.

Jako klasyczny pismak postanowiłem rzecz sprawdzić u źródła. Odnalazłem siedmiu pisarzy i przeprowadziłem z nimi wywiady. Niektóre są bardzo długie, inne krótsze, ale uważam, że wszystkie są niezwykle ciekawe. To, co dobre w „Liście nieobecnych” jest przede wszystkim zasługą moich rozmówców, a wszystko, co złe, owocem moich błędów lub beztroski. Każda z rozmów odsłoniła przede mną część rzeczywistości, o której nie miałem zielonego pojęcia.

Po przeprowadzeniu wszystkich tych wywiadów nabrałem pewności, najzwyczajniej czułem, że ludzie, których spotkałem, wrócą jeszcze na rynek księgarski. Każdy z nich był przecież niebanalną osobowością. A jeśli chodzi o powrót... Tak właśnie się stało!

W trakcie przygotowywania tomu z wywiadami, zaczęły ukazywać się ponownie książki wielu moich rozmówców. Wydawnictwo „Solaris” przypomniało twórczość: Konrada Fiałkowskiego, Bohdana Peteckiego, Wiktora Żwikiewicza, Czesława Białczyńskiego. Mam też nadzieję, że w przyszłości pojawią się tomiki z opowiadaniem Zbigniewa Dworaka, Dariusza Filara czy wznowienie trylogii Edmunda Wnuka-Lipińskiego. To wszystko są znakomici pisarze. Sprawdziłem. Nie przemawia przeze mnie tylko młodzieńczy sentyment. Ta proza do dzisiaj „czyta się” znakomicie i szczerze mogę ją polecić. A każdemu, kto chce dowiedzieć się czegoś więcej o autorach, którzy ją tworzyli, polecam oczywiście swoją książkę „Lista nieobecnych”. To jest podróż w świat literackiej kuchni, ale również niezwykła podróż w czasie do lat PRL-u, kiedy owa proza powstawała.

Książka została przyjęta bardzo życzliwie. Miałem okazję sprawdzić to na Festiwalu Fantastyki w Nidzicy organizowanym od dwudziestu lat przez Wojtkę Sedeńkę. Wielu miłośników SF podchodziło do mnie i, gratulując książki, sugerowało kolejne

nazwiska, kolejnych pisarzy, do których powinienem dotrzeć. To umocniło mnie w przekonaniu, że moja praca miała sens. Dlatego też cały czas bardzo poważnie myślę o kolejnym tomie wywiadów, o kolejnej „Liście nieobecnych”. Wszak zapomnianych twórców polskiej fantastyki naukowej jest jeszcze wielu i wiele ciekawych historii czeka, aby ocalić je od zapomnienia.

– Opublikowałeś siedem książek z cyklu „Pan Samochodzik”, a obecnie sięgasz po prozę z gatunku sensacji („Kot z Cheshire”, Wyd. Videograf, Chorzów 2014). Najbardziej zaskoczyło mnie to, iż ma ona wyraziste wątki ezoteryczne. To raczej rzadko spotykany melanz.

– Nie jestem do końca przekonany, że taka mieszanka ma charakter unikatowy. Odnoszę wrażenie, że jest wręcz przeciwnie. Wielu znanych i utytułowanych autorów opowieści kryminalnych lub sensacyjnych (gdzie mnie tam do nich) sięga po różne niesamowite klimaty. Myślę, że tajemniczość, która nieodłącznie towarzyszy ezoteryce, doskonale pasuje do fabuły sensacyjnej. Pasuje, ale tylko jako uzupełnienie.

To, co mówię, może wydać się niejasne, dlatego rozwinę nieco temat. Podczas pracy nad „Kotem z Cheshire” ważne było dla mnie to, aby elementy takie jak: przepowiednie, czy transkomunikacja stanowiły wyłącznie element tła. Dzięki nim łatwiej jest, na przykład, naszkicować portrety psychologiczne bohaterów, pokazać lęki, ewentualnie ścigające ich „demony przeszłości”. Elementy rodem z paranormalnego świata doskonale sprawdzają się w takiej funkcji. Bardzo pilnowałem natomiast, aby ezoteryka ani na chwilę nie wkradła się do wątku sensacyjnego. Uważam, iż tego wymagała uczciwość wobec czytelników.

Myślę, że każdy autor, piszący klasyczną powieść sensacyjną, który chciałby uzasadniać przebieg akcji ingerencją sił wyższych, najzwyczajniej w świecie oszukiwałby czytelników. Moim zdaniem w prozie tego rodzaju, jak „Kot z Cheshire”, nie ma miejsca na rozwiązania w stylu deus ex machina. Książka

sensacyjna powinna oferować zagadkę, którą odbiorca ma szansę rozwiązać, jeśli uruchomi logiczne rozumowanie i odrobinę pomysłowości, ale... bez odwoływania się do świata „nadprzyrodzonego”. Wszelkie pułapki zastawiane przez autora, które mają zaskoczyć czytelnika i zmylić go, aby nie doszedł do prawdy zbyt szybko, muszą być zastawiane uczciwie. Nie ma zatem miejsca na „czary mary”.

Dlatego też wykorzystując wątki ezoteryczne w „Kocie z Cheshire”, bardzo dbałem, aby nie zdominowały one mojej opowieści. Tak, jak powiedziałem, są one elementami tła. Dużo mówią o jednym z bohaterów. Pokazują, że nawet człowiek, który na pierwszy rzut oka jest racjonalistą, typem chłodnego analityka rzeczywistości, może być w głębi duszy kimś zupełnie innym. To tyle, jeżeli chodzi o „Kota z Cheshire”. A jeżeli zamarzy mi się kiedyś głębsze eksploatowanie wątków ezoterycznych, to z pewnością zabiorę się za jakąś powieść fantastyczną, horror, albo coś zbliżonego klimatem.

– Stale współpracujesz z miesięcznikami „Nieznany Świat” i „Czwarty Wymiar”. Czy prezentowana na łamach tych czasopism tematyka jest ci jakoś specjalnie bliska?

– Nigdy w życiu nie doświadczyłem niczego, co mógłbym uznać za przejaw działania sił nieznanych dotąd nauce. Nie widziałem ducha, ani nie czułem jego obecności; przepowiednie i wróżby nigdy mi się nie sprawdzały; nie działały na mnie moce przeróżnych uzdrowiaczy lub ludzi obdarzonych, przynajmniej w deklaracjach, jakąś niezwykłą mocą; nie widziałem UFO; nie miałem stanów OBE...

Nigdy w życiu nie spotkało mnie nic niesamowitego. Widocznie jakiś pechowy jestem. Jednak dzięki swojej dziennikarskiej profesji miałem okazję poznać ludzi, którzy nie tylko takie doświadczenia zaliczyli, ale potrafili o nich barwnie opowiadać. Co więcej, miałem to szczęście, że poznałem osoby, które badały niezwykle zjawiska, opisywały je, analizowały.

Być może moja fascynacja tematyką paranormalną jest przejawem tęsknoty za niezwykłością i próbą sprowokowania rzeczywistości, aby w końcu objawiła mi swój ezoteryczny wymiar? Niestety, jak dotąd, inne wymiary konsekwentnie milczą.

– I pytanie ostatnie, z gatunku tych tradycyjnych: powiedz kilka słów na temat planów pisarskich na przyszłość. A może już trzymasz w szufladzie biurka jakiś ukończony manuskrypt?

– 0 – i to jest doskonała okazja na użycie ostatniego z zapowiedzianych przeze mnie cytatów. Woody Allen powiedział: „Jeśli chcesz rozśmieszyć Boga, opowiedz mu o twoich planach na przyszłość.”

Życie nauczyło mnie pokory i w pełni potwierdziło złotą myśl autora „Purpurowej róży z Kairu”. Manuskrypt trzymany w szufladzie? Poza nieudaną powieścią do przeróbki, o której już wspomniałem, leży jeszcze kilka rozgrzebanych projektów. No i kolejny „Samochodzik” domaga się ode mnie poważnego potraktowania, a zatem przelania ukiszzonego pomysłu na dysk komputera.

Poważnie myślę również o kilku powieściach kryminalnych i sensacyjnych. Książki te nie będą powiązane ze sobą fabularnie, ale pojawi się pewien element łączący. Tytuł każdej z nich będzie odwoływał się, podobnie jak „Kot z Cheshire”, do najbardziej znanego utworu Lewisa Carrolla. Więcej chyba już nie powiem. (śmiech)

Szczerze? Nie lubię mówić zbyt dużo o swoich nieukończonych projektach. Mam taki rodzaj prywatnego zabobonu. Jeśli zbyt dużo opowiadam o jakiejś nienapisanej jeszcze powieści lub opowiadaniu, to one później mają spore kłopoty z narodzinami. Widocznie zbyt często „używana” fabuła jakoś „zużywa się” w moim mózgu i trudno mi później pisać dany kawałek z ekscytacją. A ponieważ wyznaję zasadę, że książki warto tworzyć w taki sposób, aby spod klawiszy wychodziła proza,

którą sami chcielibyśmy przeczytać, więc zawsze staram się pisać, wkładając w to działanie sporo emocji. Przy odrobinie szczęścia przekłada się to później na odbiorców.

W każdym razie wszystkim czytelnikom „Listy nieobecnych” oraz „Kota z Cheshire” życzę dobrej, ekscytującej lektury i obiecuję, że jeśli uznają, iż moja „pisaninka” im odpowiada, możliwie szybko postaram się dostarczyć im coś zajmującego do czytania.

Autor: Wojciech Chudziński

Źródło: [Infra](#)